

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

# SZEŚĆ GODZIN

Powieść.

I.

Przez otwarte okna pokoju spływała na posadzkę pełna poświata księżycy i odbitym blaskiem, srebrzyście rozproszonym, wnikała w przestrzeń pokoju. Z cichego pod oknami, zadumanego w księżycu sadu, falował silny, odurzający młodością zapach bzów i drzew owocowych. Noc ledwo się co księżycem w mroku otwierała i za oknami czekała na swe zdarzenia.

Wtem, ciszę skupioną ku jakiejś bajce majowej, rozdarł ostry, brutalny krzyk, płynący z podwórka.

— Hej! Wojciechu! Czy chłopci już są?

— Są, jasnie panie dziedzicu.

— Pakuły i powrozy przygotowane?

— Są na wozie.

— Niech maszerują pod leśniczówkę. W drodze dopędzą ich! — Osiodłać mi konia!

— Już osiodłany panie prezesie!

— Dobrze.

Szmer jakiejś rozmowy, już mniej wyraźny. — Głosy oddalające się jakieś większej ciżby ludzkiej, — skrzyp bramy, — tętent kopyt, — jakiś chód po kamiennej posadzce przylegającego do pokoju korytarza i — znowu cisza zupełna.

Po długiej chwili słowik odważył się wziąć kilka tonów i odpowiedziała mu hasłem, zdubowana krzykiem, ichorliwa wilga.

Powoli świeże powietrze wiosny i romantyczny zapach bzów, zalewały przykre wspomnienie brutalnych głosów.

A kiedy zdawało się, że już nic prócz tego maja nocnego, do pokoju nie wejdzie się, — nagle w oknie ukazała się jakaś postać.

Obcy przechylił się przez ramę okienną i oglądał się ostrożnie po pustym pokoju. Potem wspiął się bezszelestnie na framudze i wskoczył do pokoju.

Chwilę słuchał. — A'le znać nic dla siebie groźnego nie usłyszał, bo tym samym co skok, zgrabnym i cichym krokiem, podszedł do szafki przy ścianie, otworzył ją własnym kluczem, — potem sięgnął do kieszeni, wyjął jakąś paczkę, włożył ją do szafki i znowu zamknął drzwiczki, chowając klucz z powrotem do kieszeni.

Jakby odetchnął z ulgą.

Posunął się na środek pokoju i już nie patrząc pustki w pokoju, jał oglądać jego ściany obwieszone obrazami. Na jednej z nich zauważył jakiś nieduży portret młodej pani. — Podszedł bliżej, jakby zdziwiony. Pod portretem czerniła się prostokątna plama, pochodząca widocznie od odbicia się jakiegoś większego obrazu, wiszącego pewnie dawniej w tym miejscu. Obcy uśmiechnął się i pokiwał głową, bacznie wpatrując się w portret pani. Błada, pociągła twarzyczka, o głębokich niebieskich oczach, pewnie swym niewinnym, uroczym wyrazem młodości, coś mu mówiła, — bo potarł ręką czoło, jakby łagodząc pod niem smutne myśli.

Nagle, ucho jego schwytało jakiś dźwięk. Nastawił się, słuchając.

Tak, ktoś szedł, zbliżał się korytarzem.

Obcy jednym susem skoczył w kąt pokoju i skrył się za wiszącą obok okna ciemną kotarę.

W tej chwili weszła do pokoju, ta właśnie z portretu.

Spokojna i zamyślona, nie przeczuwając nikogo, wolnym krokiem zbliżała się do okna. Łokciami oparła się na framudze, poddając bladą twarzyczkę pachnącemu powietrzu i zasłuchiwała się, — bo słowik śpiewał nieprzerwanie, swoją partię majową.

Pani była w skromnej sukience wiosennej, a główkę jej otulały bogate, złote włosy, nasrzące teraz promieniście księżycem.

Uszy jej słowika słuchały, a zadumane oczy patrzyły gdzieś daleko, poza sad, wzrokiem dziecka, chcącego sobie wyobrazić nieznane kraje.

Ale słowik wnet skończył śpiewać pierwszą część swej partii, bo umilkł na dłużej w od poczynku.

Pani powstała od okna i cichem wesnieniem skończyła zadumę.

A potem, chcąc powtórzyć widocznie zasłyszany koncert, podszedła do stojącego w rogu fortepianu i usiadła przy nim.

Ręce jej białe i wiotkie jak lilje dwie, zaczęły muskać klawisze i o to w odpowiedzi słowikowi, wypłynęła z pokoju w sad i w świat, przedziwna muzyka.

Zapewne pani uczyła się grać i była zdolna, bo jej ręce białe, świetnie gładki klawisze. Ale jeszcze pewniej, pani wiele miała do opowiedzenia słowikowi i komuś jeszcze, może majowi pachnącemu w sadzie, bo jej gra przechodziła technikę strun i znaczków w nutach drukowanych. Jej gra była jakby śpiewem strun arfy nie bitych młoteczkami, ale samych, z siebie i z niej śpiewających.

Białe ręce wodziły lekko i smutnie przedziwną muzykę, w której na dnie, zdawało się rytmem szemrać cichutkie serduszek pani, — w której wibrowały dzwoneczkami nieuchwytnie, niewypowiedziane słowa, jakiejś tęsknej skargi i żalu i modlitwy.

Zagrała się pani w muzyce i nic prócz pieśni swej nie słyszała, jakby sercem całem opowiadała ją Bogu dobremu, drzemiacemu w sadzie.

A Bóg pewnie słuchał, bo ciszę w sadzie nakazał, że nawet słowik — jego ulubieniec, — musiał czekać na swoją kolejkę.

Ale muzyki pani prócz Boga i maja, słuchał też obcy, ukryty za kotarą.

Znać rozumiał ją i słyszał zawarte w niej, choć niewypowiedziane słowa, bo bez szmeru wychylił się z za kotary i patrząc smutno na złotą główkę pani, stał zasłuchany.

Wtem zmaciły się basy fortepianu. Pani drgnęła i ręce jej białe szarpnęły fałszywie kilkoma klawiszami. Poczula, że ktoś stoi za nią. — Zerwała się od fortepianu i odwróciła.

— Ach! — Kto to?

— Już więcej ani jednego okrzyku. — Odpowiedział cicho, lecz ostro i przed nią błysnął jakiś brzoń.

Błada i przerażona oparła się plecami o fortepian.

— Przepraszam, że tak ostro przemawiam, ale muszę. Jeśli pani chce mnie o coś zapytać, proszę bardzo, — byle spokojnie i cicho.

— Kto pan jest?

— Jestem obcy. Nie przyszedłem pani nic złego uczynić.

— Co pan tu robi?

— Słuchałem pani muzyki.

— POCO pan tu wszedł?

— Wszedłem by porozmawiać z panią.

— Dziwne zaiste odwiedziny, z bronią w ręku.

— O, przepraszam panią najmocniej. Chodziło mi tylko o to, by móc bez niepotrzebnych krzyków, wołań i pogoni, rozmówić się z panią. — Ta broń, to tylko zapewnienie spokoju.

I spuścił rękę z rewolwerem.

Nie rozumiała nic. Serce jej biło mocno, pod falującą bluzeczką, a pociemniałe z przerażenia oczy patrzyły na tego dziwnego człowieka z lękiem i obawą.

— O, niech się pani mnie nie boi. Ja naprawdę nie przyszedłem pani nic złego uczynić.

Głos jego był miękki i uspakajający, więc mimowoli śmiejąc się spojrzała.

Nie widziała go nigdy przecież, a jednak jego twarz zdawała się jej jakąś nieobcą.

Stał bokiem do okna i księżyc błyskał na silnie sklepienie, gładkie, na miedź opalonem czoło jego i chudym, zapadłym policzku. Falujące, ciemne włosy, zdawały się ożywiać mocne czoło, z pod którego łagodnym, małowym blaskiem aksamitu, patrzyły duże, granatowe oczy.

— Rozumiem lęk pani. Ludzie tak są wychowani w obyczajach, że cokolwiek stanie się niecodziennie, przeraża ich.

— Trudno nie przerażać się obcego człowieka, z bronią w ręce, we własnym domu.

Uśmiechnął się i nie odpowiedział.

— Tembardziej, że wszedł pan chyba przez okno, bo drzwi są pilnie strzeżone!

Nic nie mówiąc, patrzył na nią urzekającymi niemal oczyma.

— POCO pan tu wszedł?

— Już powiedziałem. Chcę rozmówić się z panią.

— Zatem?

— Pani jest bardzo smutną i nieszczęśliwą.

— Skąd pan wie o tem?

— Ze skargi pani.

— Z mojej skargi?

— Tak. Słyszałem pani muzykę. Skarżyła się pani na Boga chyba jedyńemu, — ale widocznie tenże sam Bóg chciał, bym i ja skargę pani posłuchał.

— Nie znam pana. Jak możesz pan do mnie w ten sposób przemawiać?

— Znowu obyczaj ludzki pokutuje w pani słowach i myślach.

— Co to znaczy?

— Czyż to nie wszystko jedno, w tej chwili, czy pani mnie zna, czy nie zna? Przecież prawdę powiedziałem pani, że jest pani nieszczęśliwą.

— Choćby nawet, — dla pana powinno to być obojętne. Nie to chyba było powodem, tej conajmniej dziwnej wizyty.

— O, mylił się pani. Nie jest to dla mnie obojętne. A w wizycie mojej, to też leżało jako powód.

Gwałtownymi wysiłkami myśli starała się poznać sytuację i powoli oswajała się z nią.

— Ktoś, kto wchodzi przez okno do cudzego domu, przychodzi coś zabrać. A smutek trudnym jest do zabrania.

— Powoli lęk panią opuszcza. — To dobrze. — Ale niedobrze, że usiłujesz pani być złośliwą. Nie przyszedłem tu nic zabrać. Niesłusznie pani sądzisz, że jestem złoczyńcą.

— A kimże pan jest? Przypna pan, że dobrodziejem, lub przechodniem obojętnym, trudno pana nazwać.

— Czyż pani nie wszystko jedno, kim jestem? Wszak pani mnie nie zna. Jeśli los zechce, dowie się pani i o tem.

— Jednak nie jest mi wszystko jedno i chcę wiedzieć, kto.. słuchać przyszedł mojego koncertu.

— Niestety, nie przedstawię się pani według szablonu. Przynajmniej na razie, musi to pozostać dla pani tajemnicą.

— Zaczyna to być...

— Chce pani powiedzieć „bezcenne”.

— Prawie że tak, lub jeszcze gorzej.

Jakieś inne, niezwykle, a jednak pośrednie i nad podziw proste odpowiedzi jego, wywołały w niej mimowoli i oporu wychowania, zaciekawienie pomieszane z lękiem niesamowitości.

Starała się ją ująć i ułagodzić, uspokoić słowami swymi, a równocześnie jakby ją chciała niemi pociągnąć w nieznane światy myśli.

Głównie przed chwilą była prawdziwą. Tęsknota i marzenia były jej znamionami. Włec teraz, umysł jej zaprawiony niemi do wiecznych wycieczek w nieznane strony świata i myśli i uczucia, chętnie choć podświadomie poddawał się kierunkowi, który on, ten obcy wyznaczał.

Z fizycznej strony sytuacji, zdawała sobie sprawę wyśmienicie. Biorąc ją codziennie i jak on to nazwał podług zwyczaju, powinna by zadzwonić na służbę i w ten sposób rozwiązać tajemnicę.

Wiedziała jednak, że mąż prawie wszystką służbę zabrał ze sobą i... że obcy mógł nie dopuścić jej do dzwonka.

A przytem tę fizyczną stronę zakłócała i sprowadzała na manowce z drogi utarłego zwyczaju, niesamowitość tego dziwnego gościa.

On tymczasem najswobodniej podszedł do środka pokoju, w którym stał stół okrągły, otoczony krzesłkami.

— Jestem, proszę pani, zmęczony, Zrobi mi pani wielką grzeczność usiadając i pozwalając mi usiąść.

Nawpół świadomie poszła za jego prośbą.

Usiedli naprzeciw siebie. Obcy swobodnym ruchem położył przed sobą na stole rewolwer, tak jakby kładł jakąś zgola obojętną rzecz.

W poświacie księżycy błysnęła lufa i uderzyła wzrok pani. W jednej chwili błysnęła jej myśl, jeszcze niekonkretna — porwać ten rewolwer z przed niego, zastraszyć go, zmusić by się przyznał kim jest.

Ale on, jakby nie przeczuwając nawet podobnie podszeptnych myśli, patrzył na nią poważnie i niemal tkiwie.

— Wiele czaru z tego spotkania, przynajmniej dla mnie, przysłoby może, gdybym pani wyjawiał kim jestem. Czy pani nie czuje, jak dziwnie, jak bardzo dziwnie spotkaliśmy się ze sobą?

Jego niski, małowy głos zniewalał niemal do uważnego słuchania i wierzenia. Przykra poprzednia myśl już ulotniła się z jej pamięci.

— Proszę być pan jak najprędzej zakłócił tę przykrą dla mnie rozmówkę (z ironią) towarzyską i wyszedł stąd.

— Pani nie mówi prawdy, nazywając tę rozmówkę — towarzyską.